



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Do pow. w dodatku książkowym:
„Historja o rycerzu Percevalu i smutnej księżniczce Sygunie.”



Perceval ujrzał nagle nadjeżdżających rycerzy. Pierwszy rozmawia ze starym wieśniakiem, snać rozpytując o drogę.

Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego.

POEZJA ŚREDNIOWIECZNA

PIEŚNI ŚWIECKIE I RELIGIJNE. —

(Dalszy ciąg).

Kończąc z poezją świecką i przechodząc do religijnej, pragnę uwagę waszą zwrócić na wiersz ciekawy bardzo dla szczerego, prostego uczucia, które go podyktowało. Treścią tego wiersza — rozmyślenia smutne, pełne lęku wobec nadchodzącej śmierci. Oto zbliża się kres ostateczny i trwoży się nim serce ludzkie:

„Ach! mój smutku, ma żalości,
Nie mogę się dowiedzieć,
Gdzie mam pierwszy nocleg mieć,
Gdy dusza z ciała wyleci.

A potem przychodzi obrachunek życia całego, prac i zasług i znowu żal i narzekanie:

„Gdzie me dzieła, ma robota,
Głupiom robił po te lata,
Ośm miar płótna, siedm stóp w grobie,
Tom tylko wyrobił sobie.
Nigdzie się przed Bogiem skryć,
Dusza nie śmie przed sąd iść,
Widzi niebo zatworzone *)
Widzi piekło otworzone.”

Jedyna ucieczka — to miłosierdzie Boże. O nie też prosi zakończenie wiersza:

„Chryste, przez Twe umęczenie
Rozprosz dyable obstępianie,
Daj duszy przeżegnanie,
Daj ciału dobre skonanie.”

Na poezję religijną składają się przeważnie pieśni czci Chrystusa Pana, Bożej Matki i świętych Pańskich poświęcone: Oto jedna z najpiękniejszych, pieśń wielkanocna:

„Nasz Zbawiciel, Pan Bóg wszechmogący,
Jemu Chrystus Nazareński w Trójcy
Wstał z martwych ninie,
Uweselił ludzkie pokolenie.
Wstąpił do piekłów w wielki piątek.
By oddalił od swoich smętek.
Wstając z grobu nie ruszył kamienia,
Ni pieczęci żadnego znamienia.
Stróże posnęli,
Jako martwi, tako popadali.”

W piekłach, gdy się ukazał tym, którym swą śmiercią wesele wieczyste gotował:

„Święte dusze przed nim poklekały,
Z wielkim płaczem jemu dziękowały,
Rany całując,
Litość wielką jemu okazując.”

I prosiły go o prawo odwiedzenia i oglądania Maryi:

„Rzeknęć Jemu: Panie wiecznej chwały
Królu mocny, nasz hetmanie stały,
Racz nas wysłuchać,
Matkę Swoją smętną nam ukazać.
Wysłuchał ich modlitwy pokorne,
Posłał posły ku Swej Matce wierne

Żeby wiedziała *),
Serce swoje k'weselu sprawiała,
Każdy żądał ku Pannie posłem być,
Każdy żądał w tem poselstwie ku Niej iść.
Każdy Go prosił,
Sam Gabryel to poselstwo nosił.”

A w ślady za Gabryelenu podążył sam Zbawiciel:

„I ukazał się Maryi
Nie zapomniał swojej Matki miłej,
Tak ją pozdrowił:
— Zdrowa bądź, z Ciebiem się narodził.
Już mię widzisz Matuchno żywego,
Nie kłopotce dalej serca swego,
Zawždy ja z Tobą,
Bo Cię wezmę rychle już ze Sobą.”

Z kolei pojawia się Chrystus Maryi Maci¹ potem Apostołom, nakoniec świętemu Piotrowi:

„Piotr się udał
Ku jaskini w której Chrystus
Ukazał mu się Chrystus w jaskini
— Nie lękaj się zwolenniku miły
Swego zaprzania,
Bądź wesół z mego zmarła
Nie zaprzależ się mnie
Jam widział Twoją cięż
Takem cię chc
Iżeś się mnie po trzykroć miał zaprzasa
Abyś umiał ugodzić grzes
Gdyś się poddał upadowi
Abyś rozumiał
I z występny miłosierdzie dzia

Zwróćcie uwagę na te kilka osobnych wierszów. Jaki w nich cudny obraz Chrystusowego serca, które po to tylko zsyła upadek na najpierwszych uczniów, by go wyuczyć miłości i przebaczenia dla grzesznych i upadających.

Wspomniałam wyżej, że pieśni średniowieczne zarówno świeckie jak i religijne powstawały po większej części bezimiennie. Bardzo nieliczne są garstka pieśniarzy, których nazwiska po dziś dzień się zachowały. Wśród nich góruje odłaskiem zaśluga postać cichego zakonnika, którego Kościół w poczet błogosławionych zaliczył a Warszawa patronem swym obrała:

W drugiej połowie XV-go wieku do furty bernardyńskiego klasztoru na Krakowskiej Przedmieściu, zapukał nieśmiało młodzieniaszek nieznanemu i o przyjęcie do grona braci zakonnej prosił. Zwał się Ładysławem, pochodził z Gielniowa **, urodzony tam w 1440 roku. Chętnie otwarto przed nim klasztorne podwoje, gdyż Bernardyni niedawno w kraju osiedli, a służbie Bożej gorliwie oddani z radością nowych pracowników w szeregi swe przyjmowali. Nowoprzybyły zakonnik zastąpił rychło bardzo nie tylko w obrębie klasztoru, lecz i w grodzie całym. Gorącą wymową ściągając na kazania swe tłumy słuchaczy, a gdy w mieście zaraza morowa wybuchła, z poświęceniem niósł pomoc nieszczęśliwym, ratując chorych, krzepiąc umierających.

W kapłańskiej gorliwości dbał Ładysław wielce o to wszystko, co ku uświetnieniu nabożeństwa służyć mogło. W tym celu też układał liczne pieśni, z których zasłynął i przyjął się szeroko tak zwany Psalterz Chrystusowej męce poświęcony. Oto jego początek:

*) O Zmartwychwstaniu.

Jezusa Judasz wydał za pieniądze nędzne, Bóg Ojciec syna wydał na zbawienie duszne, Jezus, kiedy wieczerzał, Swe Ciało rozdawał, Apostoły Swe smutne swoją krew napawał. Jezus w Ogrójce wstąpił z swymi miłośnikami Trzykroć się Ojcu modlił za wszystkie grzeszniki. Krwawy pot przezeń płynął dla bólu wielkiego, Duszo miła, oglądaj miłośnika swego.

Współtowarzysze umieli ocenić zasługi Ładysława. Ze skromnego stanowiska braciszka zakonnego do godności prowincyała wyniesiony, kierował on przez długie lata bracią klasztorną, a gdy sterany wiekiem urząd złożył, nie przestano zaglądać do cichej jego celi, prosząc o radę, ilekroć jej losy Zakonu wymagały.

Zmarł w 1505 r., w podziemiach Bernardyńskiego klasztoru pochowany.

W XVII wieku policzony został w poczet Błogosławionych. Święto jego 27 września obchodzimy.

Moje pogadance dzisiejszej kończę przegląd głównych i niepozorne — znać je jednak trzeba. — Co byśmy pojęlibyśmy bowiem tej literatury późniejszej, w XVI stuleciu rozwinęła się bujnie, do długo tkwiło w pąku, zanim wytryśnie górze barwną koroną.

Marya Dynowska.

TE POLE.

HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

— Jędrzek z Grzybowa rzucił rumaki, podnieśli przyłbice, a najstarszy z nich, który trzymał się pośrodku, skłonił się na okół i zapytał:

— Wiem, że Wincza niema tutaj, bo zostawiłem go w Gnieźnie przy boku naszego pana, powiedzcie mi zatem, do kogo mam się zwrócić, ażeby mu wręczyć jako najstarszemu między wami, rozkaz naszego władcy.

— Jędrzek z Grzybowa rzucił rumaki, podnieśli przyłbice, a najstarszy z nich, który trzymał się pośrodku, skłonił się na okół i zapytał:

— Czego żąda nasz miłościwy władca? — kornie schylając głowę przemówił Jędrzek.

— Na dowód, że prawdą są słowa, które w tej chwili wyrzeknę — rzekł jeździec, schodząc z konia — pokazuje wam tę oto pieczęć i ten oto pierścień króla Władysława. Przyjrzyjcie mu się dobrze.

Jędrzek z Grzybowa obejrzał pierścień, wziął w rękę pieczęć i wręczając ją z powrotem jeźdźcowi, zapewnił:

— Znam ci ja to, nie po raz pierwszy trzymam w ręku. Mówcie zatem, a wola monarchy spełniona będzie, choćby nam przyszło głowy natychmiast dać pod topór.

— Owoż słuchajcie. Pan nasz i władca miłościwy nakazuje, ażeby ani chwili nie zwlekając, wypuszczeni zostali z lochów więźniowie, którzy pojmani zostali pod Świętą Górą, a więc Maćko, Radoń, Jarosz i wszyscy jego towarzysze. Osobny goniec

popędził do Gostynia, ażeby uwolnić niejakiego Jude, Natana, a Dzierżka skierować z powrotem do Kruszwicy.

Szmer zdziwieniu przebiegł po wszystkich zgromadzonych, krzyżowały się też szeptem wymawiane pytania: „Skąd tak nagle?” „Jakiż zwrot?” „Co to ma znaczyć?”

Jędrzek z Grzybowa raz jeszcze uchylił głowę:

— Stanie się podług woli pana naszego. Raczcie mi jednak powiedzieć dokładnie, czy wypuszczony ma być także ten mnich, o którym mówią, że to Zbyszko, syn królewski?

— Wyraźnie rzekłem: na wolność puścić wszystkich! Co zaś do Zbyszka, to mam oddzielne rozkazy. Ten syn królewski ma się natychmiast udać z nami do Gniezna. Jarosz i inni mogą uczynić to samo, jeżeli taka będzie ich wola, a pan nasz miłościwy szczególnie pragnąłby ujrzeć jakiegoś garbuska, którego Kruszyneką zowią. Pono młodzian ten zdobył przyjaźń królewicza Bolka.

Dobek słyszał każdy wyraz i serce rosnęło mu z radości, gdy się dowiedział, że skończone katusze rodzica i wszystkich niewinnie więzionych. Ale kiedy do uszu jego dobiegły słowa, dotyczące dalszego losu Kruszyнки, zadrżał i zbladł, a trząsł się jak w febrze.

Oczami szukał Brysi i dostrzegł ją wreszcie, wychylając się ciekawie z komnaty. Nie czekał dłużej i jak strzała pomknął do dziewczęcia, a tak był zdyszany, gdy stanął przed nią, że długiej potrzeba było chwili, zanim zdobył się na odpowiedź.

— Co się tam stało? Po co przybył ten goniec królewski? — pytała córka Winczowa.

— Nieszczęście się stało! — wybuchnął wreszcie Dobek.

— Czyżby schwytano Kruszynekę? Boże, Boże, cośmy uczynili.

— Uspokój się, Brysiu! Żle powiedziałem, że stało się nieszczęście, przeciwnie, szczęście spotkało nas wielkie. Królewski wysłannik obwieścił koniec karni dla mego ojca, dla Radoń, Jarosza, Zbyszka i wszystkich, a królewicz wyraził chęć wzięcia Kruszyнки do swego boku. A tu Kruszyńska daleko.

— A nie mówiłam, Dobku, że trzeba było czekać na powrót ojca.

— Czekać, czekać — drażnił się Dobek — któż mógł przewidzieć, kto przeczuć, że to się stanie! Co teraz zrobimy? Co zrobimy? Chyba głowę rozbiję sobie o mur.

Dziewczę zamyśliło się, a Dobek nalegał:

— Radź, radź, ty masz więcej rozumu ode mnie. Ach! gdybym cię był słuchał.

Brysia nie odpowiedziała i tylko sumowała w myśli, wreszcie odezwała się:

— Nie rozpaczaj! Za chwilę ojciec twój będzie wolny i ty będziesz mu się mógł rzucić w ramiona. Wówczas wyznaj mu wszystko, on najlepszą da radę, boć i jemu los Kruszyнки nie jest obojętny.

— Złota, jedyna Brysiu, jakże ci się za tę radę i pomoc odwdzięczę! — krzyknął Dobek i wybiegł na dziedzińiec, ażeby oczekiwać na więźniów, wychodzących z lochów.

— Dostojny rycerzu — przemówił Jędrzek z Grzybowa do gońca królewskiego — wypocznijcie trochę, nie pogardźcie łyżką strawy, a tymczasem przygotujemy wszystko do podróży.

Ale goniec uśmiechnął się tylko, skłonił się dwornie i rzekł z uśmiechem:

— Dla dobra więźniów, dla dobra Zbyszka nie zatrzymujcie nas dłużej, a co macie, to podajcie nam. Juści zjemy, bo głodni jesteśmy setnie, ale załatwimy się z tem szybko, z nogą w strzemieniu.

Jeno konie nam zmienić musicie, a i dla onego Zbyszka dobrego przygotować rumaka.

— Czemuż to mówicie, że dla dobra Zbyszka działać trzeba szybko? — zapytał Jędrak.

— O wa! co tu mówić długo. Wojewody niema teraz w Gnieźnie, ale gdy powróci, wszystko zmienić się może na opak.

— Biedny król! — westchnął Jędrak — opanowali go niecni ludzie, serce tam złote, ale woli nie ma.

Z lochów wychodzili długo więzieni mężowie, a Dobek przypadł do Maćka i długo, długo wisiał w jego objęciach.

— Gdzie drugi mój syn, Kruszyńka? — zapytał Maćko, oglądając się w okóło.

— Chodź ojcze, opowiem wszystko — odparł trwoźnie Dobek i pociągnął Maćka w miejsce ustronne, gdzie długo coś mu tłómaczył.

Zagrano znów w rogi, tym razem na pożegnanie i słońce zaledwo wschodziło na niebo, gdy goniec królewski z towarzyszami, wzięwszy pomiędzy siebie Zbyszka, pocwałował w stronę Gniezna.

W kilka chwil później Jędrak z Grzybowa po naradzie z Maćkiem wysłał w cztery świata strony pościg za Kruszyńką.

VII.

Niewdzięczny.

Od wypadków opisanych, a zwłaszcza od ucieczki Kruszyńki minęło lat sporo, zmieniło się dużo w kraju i poza jego granicami, a przedewszystkiem pomarło kilku ludzi, których losy zajęły nas bliżej. Śmierć zabrała starego Natana, przebyte bowiem dni trwogi przyprawiły go o chorobę, dzielny, ale krewki Radoń legł również w grobie, na starem cmentarzysku w Mielźnie przybyła mogiła Maćka, a Jarosz, nie doczekawszy się wdzięczności za swoje starania ze strony Zbyszka, wiął w ubogiej wioszczynie mazowieckiej i martwił się, że wydobycie z klasztornego ukrycia syna królewskiego, zamiast przynieść szczęście i wprowadzić pokój do kraju, nabawiło tylko ziemię Polan nowych kłopotów i waśni,

których echo rozbiegało się daleko, szerząc wszędy zgorzanie i smutek.

— Może lepiejby było — mawiał stary Jarosz — gdybym wówczas nie udawał się do Wielkopolan. Zbyszko, nie znalazłszy opiekunów, wiódłby cichy i zacny żywot w klasztorze, a nad nami panowałby bezpośrednio król Bolesław, mąż silnej ręki, a w boju nieustraszony. A teraz, co się dzieje? Oto panem mamy owego Zbyszka, żywot zaś jego nie przykładem świeci ziemi mazowieckiej, ale odrazę budzi i zgrozę.

Chudy był, mizerny, nikły ów Jarosz, a jednak przeżył dużo i młodszych a zdrowszych i silniejszych przeczekał w wędrowce doczesnej.

Najpierwszy zszedł do grobu król Władysław Herman. Zdawałoby się, że słabowity i słaby monarcha jakgdyby tylko czekał na odnalezienie syna pierwotnego i przytulenie go do serca, Jarosz zaś, który z lochów kruszwickich pośpieszył do boku króla, na własne oczy mógł widzieć wszystko, co się działo, gdy na wyraźny rozkaz władcy przyprowadzono Zbyszka. Sieciech raz jeszcze próbował wszelkimi siłami zapobiedz widzeniu się ojca z synem, królowa niemniej rozpaczliwe czyniła wysiłki, ale Władysław Herman, może po raz pierwszy w życiu, okazał się niezłomnym w swoim postanowieniu i Zbyszko przyjęty został na dworze, jako dziecię rodzone i kochane.

Królewiczowi Bolkowi nie potrzeba było dopiero dawać rozkazów, jak ma się zachować wobec brata.

— Nie opuszczę go, bronić go będę, choćby stu wojewodów stanęło mi na drodze — zawołał z zapalem i dodał groźnie — jednego tylko, bratu nawet nie przebaczylibym — zdrady.

— Teraz mogę umierać spokojnie — odparł król, zwracając się do dworzan — dotąd dwie zmory trapiły mnie zawsze we dnie i w nocy: owo zabójstwo Bolesławowe (król wzdrygnął się, wymawiając te słowa z trudem) i krzywdę, jaką wyrządzili zli ludzie Zbyszskowi, a ja byłem za słaby, ażeby bronić wła-



Przeprawa oddziału sanitarnego przez rzekę Tajcychę w Mandżurji.

sne dziecko. Teraz mogę umierać spokojnie — powtórzył i opadł na poduszki z wyrazem dziwnej błogości na schorowanem obliczu.

— Któżby mówił teraz o śmierci, teraz, kiedy nie sam tylko, ale pospół z bratem będę mógł roztoczyć nad tobą, ojczyźnie, najczulszą opiekę — padając na kolana przed królem, zaikał król-wicz Bolko.

— Moje dziecko! stary już jestem, niedołężny, czas mi już w drogę — mówił król, uśmiechając się łagodnie. — Wróćmy na Mazowsze, tam w Płocku chciałbym złożyć swoje kości, i tam pragnę też ogłosić Zbigniewa księciem mazowieckim.

Władysław Herman tęsknił do Płocka, a chociaż Sieciech ze względów na ogólny stan kraju przeciwny był powrotowi, to jednak musiał uleść i dwór cały, nie zabawiwszy długo w Gnieźnie, wyruszył z powrotem do Płocka. Przeczucia Władysława Hermana sprawdziły się i wkrótce synowie królewscy i dwór cały przybrał żalobą po niedołężnym starcu na tronie.

Woli dogasającego władcy stało się zadość i Bolko z ochotnym sercem oddał bratu przyrodniemu ziemie mazowieckie, zastrzegając sobie tylko pomoc na wojnie i radę w potrzebie.

Czy Zbyszko wywdziękzył się bratu za to dobre serce? Nie, wdzięczność nie leżała w charakterze starszego syna królewskiego, przeciwnie ten podział władzy wzbudził w nim niechęć do Bolka, niechęć, która z biegiem lat przemieniała się we wrogą nienawiść i chęć pomśzczenia za urojoną krzywdę.

— Nie on powinien rządzić i siedzieć na tronie — wykrzykiwał często Zbyszko, a nie mogąc nasycić żądy władzy i pychy okrutnej, topił zmartwień w miodzie i winie, strumieniami płynącymi na zamku płockim.

Kości, wesola muzyka, tańce, zabawy, sprośne piosenki — oto czem żył uratowany przez Jarosza z zapomnienia Zbyszko, a kiedy ten sam Jarosz, mając twarde zatarg z krzywdzicielem-sąsiadem, udał się o pomoc do księcia, zaledwie dopuszczonej został przed oblicze byłego zakonnika. Zaniedbany w ubiorze, skromny i zbiedzony Jarosz stał się nawet przedmiotem drwin podochoconego Zbyszka.

Ze zgorzkniałem przeto sercem powrócił do domu i powtarzał: „Może lepiejby było, gdybym wówczas nie był udawał się do Wielkopolan”.

Coprawda, nietylko zaopiekowanie się Zbyszkiem wpłynęło na podróz ówczesną Jarosza z towarzysza-

Do art „Puszcza Niepołomska.”



Polowanie na łosie.

(d. c. n.)

PUSZCZA NIEPOŁOMICKA.

Tegoroczne lato suche i gorące sprzyjało ogromnie szerzeniu się pożarów. Wspominaliśmy już o tem w „Wieczorach”, pisaliśmy o tej niszczącej klęsce, która nawiedziła wiele miast, wsi i lasów, obracając w pierzynę ludne osady i zielone gaje.

Między innemi miejscowościami katastrofa ognio-wa dotknęła również puszcę Niepołomska, nad Wisłą położoną, a na przestrzeni kilkunastu mil się ciągnącą.

Przyczyną pożaru była zwykła nieostrożność.

Na łakach wsi Dziewina, w powiecie Bocheńskim leżącej i bezpośrednio do lasów niepołomskich przytykającej, parobcy, zbierając siano, zapuścili między stogi ogień z fajki, a gdy wybuchnął płomień, zamiast stłumić ogień na miejscu, zaczęli rozrzucać stogi, wskutek czego zapaliły się trawy i rozległe, wyschłe od ciągłej posuchy pastwiska stanęły w ogniu, który w krótkim czasie przedostał się do lasu.

Winowajcy wypadku w przeszerzeniu panicznem uciekli wówczas, zostawiając wszystko na łasce szalejącego żywiołu. Pożar przybrał też wkrótce olbrzy-

mi, chciał on tu przy pomocy króla odszukać siostrę swoją, która podczas napadu Niemców na Mazowsze dostała się do niewoli, a później, jak głosiły wieści głuche, zbiegła szczęśliwie do Wielkich Polan. Jarosz słyszał także, iż nieszczęśliwa natrafiła tutaj na ludzi zacnych, którzy ją przytulili, uznali za córkę i wydali za mąż. Wszystko to były jednak posłuchy, które sprawdzić zapragnął Jarosz przy sposobności pobytu w Gnieźnie.

— Siostry nie odnalazłem, a kraj unieszczęśliwiłem — biadał starzec, który polubił samotność i który szczęśliwym się czuł, gdy nie słyszał czas długi o zbytkach i życiu rozpustnem Zbyszka.

O królu Bolesławie słuchałby chętnie, cóż kiedy na Mazowsze wieści dochodziły rzadko, a zausznicy Zbyszskowi potrafili zawsze umniejszyć zasługi bitnego monarchy. Przyszła jednak taka wieść, która wstrząsnęła do głębi starcem.

Wiecznie burzliwe i wiecznie zaczepne Pomorze wystąpiło wrogo, wtargnęło do ziem polskich i siejąc postrach mordem a pożogą, zagrażało spokojnym i pracowitym rolnikom.

mie rozmiary; na przestrzeni 180 ciu przeszło hektarów (hektar, jak wiadomo, równa się 1000 kwadrato- wych metrów) spłonęły lasy i chwilami zdawało się, że katastrofa zniszczy całą puszcę wraz z kilkunastu wioskami, w tej okolicy leżącemi.

Ratunek mieszkańców wsi sąsiednich przez policyę kierowany, nie mógł zapobiedz szerzeniu się ognia, gdyż w całej okolicy zabrakło wody: studnie, potoki, strumyki a nawet i pomniejsze rzeki powy- sychały prawie zupełnie, dowóz wody z Wisły, o mi- łę odległej, okazał się nie możliwy do skutecznienia.

Wezwanie dopiero paru tysięcy wojska zaopa- trzonego zamiast rynsztunku bojowego w kilofy i ło- paty do kopania rówów a następnie zasypywania zie- mią płonącej trawy, drzew i krzewów pozwoliło ująć w karby rozszalałe morze płomieni i po kilkudnio- wym usilnym, na zmianę dzień i noc prowadzonym ratunku, stłumić pożar.

Tym sposobem puszcza Niepołomicka została ocalona.

Opisany pożar zwrócił uwagę ogółu na zapomnia- ny przez większość zakątek ziemi nad galicyjską czę- ścią Wisły leżący, a tradycyjalnie do tej pory „Pusz- czą Niepołomicką” zwany, choć właściwie lasy te od dłuższego już czasu z chwilą wprowadzenia nowoży- tnego gospodarstwa leśnego w znacznym stopniu cha- rakter puszczy utraciły.

Lasy niepołomickie ciągną się na przestrzeni 19 tu kilometrów długości i 2 do 11-tu szerokości, obejmując ogółem około 20,000 morgów obszaru. Od początku aż do końca otoczona jest puszcza łąkami moczarowatemi i jeziorami, które jak np. o rdzawej barwie „Piekło”, dalej Gliniki i Trzaskonka, stanowią zbiorniki wód dla niedostępnej sieci leśnych bagien i trzęsawisk, porośłych tu i owdzie tatarakiem.

Drzewostan puszczy Niepołomickiej nie jest je- dnostajny wszędzie na całej przestrzeni, ale najwię- cej spotyka się tu sosny i świerki, a z liściastych — dęby oraz buki.

W gąszczach puszczy kryje się dosyć obfita jeszcze zwierzyna, jako to sarny, lisy, zające, a na- wet czasem i dzika napotkać można. Łoś w tych stronach wyginął zupełnie — ostatnie okazy tego pię- knego zwierza widziano około roku 1870-go.

Ongi inaczej bywało, jak świadczą o tem bo- gate plony dawnych łowów królewskich, albowiem dodać należy, że od czasów Kazimierza Wielkiego, który tu nawet wybudował zameczek, wielu królów naszych chętnie do puszczy Niepołomickiej gwo- li łowów zjeżdżało.

Prócz Kazimierza Wielkiego przebywał często w tych lasach Władysław Jagiełło, a po zwycięstwie Grunwaldzkim stąd właśnie od Niepołomic szedł pie- szo do Krakowa.

W puszczy bywali również Zygmunt August, Stefan Batory, Zygmunt III, Władysław IV, Jan III i wreszcie August II, który tu na tygodniowem po- lowaniu w 1730 ym roku ubił 3 łosie, 17 jeleni, 23 dzi- ki, 13 wilków, 32 lisy i wielkie mnóstwo zwierzyny drobniejszej.

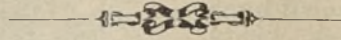
W łowach królewskich uczestniczyli zawsze i mieszkańcy wsi okolicznych, a nawet należało to do ich powinności, gdyż jak opisują dawne doku- menty z XVI wieku kmiecie w 16 wsiach i 4 folwar- kach starostwa Niepołomickiego na roli osiedli opła- cali rocznie po 4 grosze ówczesne, składając obok tego daniny, a gdy król bawił na zamku, codziennie obowiązani byli do pełnienia usług wszelakich, gło- wnie podczas łowów.

Puszcza Niepołomicka jest obecnie własnością rządu austriackiego, który nią zawiaduje, podzieli- wszy ją na 10 leśnictw, dostarczających drzewo prze-

dewszystkiem na potrzeby żup wielickich i bocheń- skich.

Pewną część dochodu corocznie rząd oddaje na rzecz krajowych fundacyi religijnych.

A. I. S.



NA ŁASCE OCEANU.

(Dokończnie).



ojenna straż wybrzeży! Statki osady kar- nej, wysłane w pościg za nami!

— Pogoń! Widzą nas, wnet pojmagają! Czyż nie lepiej było nam zginąć, rozjechanym we mgle?

Henryk, po pierwszym okrzyku nie dodał już ani słowa: Patrzył na powiewającą w wietrze chorągiew z uczuciem dziwnego bólu: Barwy narodowe! I on-że to! on, który przysięgał posłuszeństwo tym sztandarom, który w ich obronie krew by chciał przelać do ostatka, który chlubił się nimi przed światem, dziś na ich widok drży jak złoczyńca! One go przejmują przerażeniem! one go ścigają jak występnego buntow- nika!

Majacący wciąż gorączkowo Paweł czy nie ro- zumiejąc, zasłyszał coś ze szmeru wykrzyków w oko- ło siebie, czy tylko maligna nasuwała mu ciągle obrazy obozowego życia, dość, że w tej chwili wła- śnie zaczął swoim niby w pół-sennym, a przecież nie- naturalnie mocnym głosem powtarzać:

— Wierny sztandarom... Ja żołnierz, wierny sztandarom... Ojczy, kazałeś... Brońmy go! Do mnie, dzieci!

Te urywane słowa, padając w ciszę, w której tylko serca zbiegów biły głośno, w tej chwili podno- siły jeszcze grozę tego momentu.

— Poruczniku! — Tomek przypadł do niego z błyskiem w oczach — żywcem wziąć się nie damy! Lepiej zginąć! Przynajmniej drogę życie sprzedajmy.

Te słowa wyrwały Henryka z odrętwienia — tak! bronić się będą, aby się nie dać żywcem. Lepsza kula, jak powrót tam, pod te sztandary, taki, jakiby ich teraz czekał.

Wstrząsnął się na tę myśl i porwał leżącą mu u nóg nabitą strzelbę. Lepiej tak! Wszak nawet zwierz napadnięty broni się.

Ścigające statki były już tak blisko, że na po- moście każdego rozróżnić można było ludzi i wśród nich postać wydającego rozkazy kapitana — widać było każdy fałd opadającej z wiatrem chorągwi i skierowane ku łupinie orzecha lufy dwóch armatek.

Henryk złożył się do strzału.

— Za sztandar... w ognie — sztandarom cześć... — rozległ się znowu głos chorego, coraz mniej wyraźny i smutniejszy, jak głos skarżącego się dziecka.

Wiatr ucichł na chwilę — trójkolorowa chorą- giew na przodzie dużego statku opadła w całej dłu- gości, osłaniając sobą burt okrętu i koniec nurzając w wodę.

Henryk zwrócił się ku wyczekującym na hasło jego strzału towarzyszom z twarzą dziwnie zmie- nioną.

— Tomku—wyrzekł ochryplym jakimś głosem— wrzucie mnie w morze! ja wam nie będę przeska- dzał, brońcie się jeśli chcecie, ale ja strzelić do tej chorągwi nie mogę!

Chwilę trwało milczenie, podniesione z bronią ramiona opadły — w oczach zbiegów odmalowało się pomieszanie i coś jakby wstyd na pół z żalem, wre-

szcie żal przemógł: w jednej i drugiej źrenicy ły się zakręciły lub nawet spłynęły po ogorzałej twarzy, szybko starte rękawem.

— Głupie życie! — szepnęły czyjeś usta.

— Głupie, bo wasze przezemnie zmarnowane! — wybuchną nagle Henryk — teraz to widzę dopiero, ale ja chcę odpokutować, ja chcę naprawić, co się da: niczem mi już własna ambicja i pycha — wszystko przyjmę, na com zasłużył — rzucę się do nóg komendanta i sam błagać będę o śmierć, choćby najhaniebniejszą, byle wam w końcu darowano! Nie traćcie otuchy, tacy młodzi jesteście — parę lat kary prędko minie — wróćcie jeszcze do Francji, daj Boże na długie i pożyteczne życie — i jeszcze kiedyś będzie wam wolno przelewać zaszczytnie krew w ich obronie. — Głos mu się stłumił zupełnie, ręką tylko wskazał w stronę francuskich sztandarów.

— Nie! z tobą razem nam żyć i umierać, jaki tobie wyrok, niech będzie i nam! — mruknął, starając się także pokryć wzruszenie Tomek i zapominając w tej bolesnej chwili o tytule porucznika, którego mimo degradacji pomiędzy sobą nie przestawali dawać Henrykowi. — No, a teraz chłopcy — dodał, sztuczną wesołością starając się dodać otuchy towarzyszom — kiedy już nasz kochany porucznik okazał mi dowodnie, że byłem kpem z mojem głupiem „krew za krew,” gdy to krew braci i tyle tylko nam winnych, że umięją słuchać, czegośmy nie umieli — to możebyśmy nasze naboże wystrzelili na wiatr, jako ostatnią salwę pożegnalną wolności, a może i życia!

— Prędeż! na dużych statkach nietylko widzą, ale już i słyszą nas doskonale: kto ma chustkę białą, niech ją przywiążę do strzelby! Lufy w górę — wyśoko nad głowy — raz! dwa! trzy! Wiwat sztandar i subordynacya!

Huknęło trzy strzały i biały znak poddania skłonił się trzykrotnie przed trójkolorową banderą.

* * *

Prośba Henryka o ułaskawienie towarzyszy kosztom kary śmierci dla niego samego nie została przyjęta; wszystkich zarówno skazano na dalsze prace w osadzie karnej — tylko Pawełka przedewszystkiem wzięto do szpitala i wyleczono z żółtej febry. — Wzorowe teraz zachowanie się i posłuszeństwo naszych znajomych, zyskało im jednak wkrótce, wszystkim czterem, skrócenie czasu wygnania. Aż wreszcie szczęśliwy traf pozwolił Henrykowi czynem bohaterskiej odwagi ocalić w chwili niebezpieczeństwa życie komendanta i jego rodziny, — to mu zyskało uwolnienie zupełne, a gdy prócz tego pozwolono mu za męstwo żądać nagrody, on wyprosił ułaskawienie towarzyszy.

We dwa lata niespełna po opowiedzianych na wstępie zdarzeniach płynęli czterej przyjaciele znowu na wschód ku Francji, tylko tym razem nie „lupina orzecha,” ale piękny okręt marynarki wojennej niósł ich przez bezmiar oceanu, spokojnych i radośnych, jako ochotników pułku strzelców, do którego napowrót wstąpili.

— Tobie to zawdzięczamy, Henryku — mówił ze wzruszeniem Paweł — ty prawością swoją i męstwem odkupiłeś nas z niewoli.

— Cicho, dzieciaku! — przerwał Henryk, ściskając mu rękę — ani wiesz i nawet, że dopiero „Ojciec nasz” twoich kolegów i twoje gorączkowe majaczenie zrobiły ze mnie innego człowieka.

K O N I E C

ZE ŚWIATA.

Co to jest gaolan. Tak często w wiadomościach z teatru wojny napotykało się tę nazwę, że z pewnością czytelnicy z zajęciem przeczytają szczegóły o tej ciekawej roślinie, która w ciągu sierpnia i września w czasie bitw pod Laojanem, służyła za schronienie rozbójniczym bandom chunchuzów i nawet oddziałom Japończyków.

Gaolan to właściwie proso ohińskie, lub „sorgo pospolite.” Jest to roślina jednoroczna, czyli, że po zasianiu w tym samym roku kwitnie, daje owoc i umiera. Po zasiewie początkowo rośnie dość wolno, gdyż długie i liczne jego korzenie potrzebują dużo pokarmu, który odbierają w tym czasie liściom i łodygom, wstrzymując ich rozwój. Gdy korzenie rozwiną się należycie, wtedy zaczyna się szybki, potężny wzrost łodyg i liści.

Łodygi gaolanu są grube, z wieloma długimi i szerokimi liśćmi, podobnymi do kukurydzy. Gdy łodyga kończy swój wzrost, wyrzuca w górę wielką miotełkę owalną, bardzo gęstą, złożoną z sterzących w górę gałązek, z których na każdej osadzone są kłoski, zawierające ziarna.

Gdy gaolan wyrzuci miotełki, łodygi jego stają się grube i mocne, dochodzą do 7 łokci wysokości. Te olbrzymie łodygi, trzymające się w ziemi długimi, mocnymi korzeniami, tworzą wraz z szerokimi liśćmi gęste zarośla. W nich to ukrywali się chunchuzi i Japończycy. Nawet ruchy w takich zaroślach są niewidzialne, gdyż miotełki gaolanu przy najmniejszym wietrze poruszają się ciągle, zaś podczas silnego wiatru falują jak morze.

Miotełki gaolanu dają mnóstwo grubych, ciemnych, błyszczących ziarn, bardzo mącznych, zawierających wiele krochmalu. Aby gaolan dojrzał zupełnie, potrzebuje wiele ciepła; suszę znosi wybornie, gdyż długie jego korzenie znajdują wilgoć w głębokich warstwach gruntu.

Gaolan uprawiany bywa powszechnie w gorących wschodnich i południowych krajach Azji, zwłaszcza w Mandżuryi i Turkiestanie. W gorące lata dojrzewa na południu Rosyi. Z dziesięciny daje 200 lub więcej nawet miar ziarna, które przeważnie zużywane bywa na paszę.

Do tego samego rodzaju należy sorgo cukrowe, czyli trzcina cukrowa, proso zwane kapryjskiem i dżugera. Miotełki, jakich używamy do czyszczenia odzieży, wyrabiane są przeważnie z tej rośliny.



ŻARCIKI.

Dzielną dziewczynką, Mama posyła Joasię i Stasia do dentysty, ale, że Joasia się wzdraga, obiecuje jej 30 kop. na ciastka, jeśli będzie posłuszną i wytrzymałą. Gdy mali wracali, pyta mama Joasię:

— No cóż, byłaś odważna? — Tak. — Nie płakałaś i nie krzyczałaś? — Nie! — Pozwoliłaś lekarzowi wszystko robić, co było potrzebne? — Tak! — Dobrze, moje dziecko, masz obiecanie 30 kop., ale powiedz mi, co też dentysta zrobił? — On, proszę mamy, wyrwał trzy zębki Stasiowi.

A. (cyklista). W czasie mojej podróży naokoło świata, w Afryce pewnego dnia tak olśniewająco świeciło słońce, że uważaś pan — ze dwadzieścia razy najechałem rowerem na drzewa i palnąłem się o nie z całych sił.

B. Jakto, i pan mogłeś pojechać dalej?

A. Uważasz pan, to były — wszystko drzewa gumowe!

LOGOGRYF.

uł. J. Trzebiński dla K, Biernackiego.

Z sylab: a — e — ga — kło — le — le' — mil — na — na — o — o — on — po — po — rio — rew — świst — ta — war — wa.

Ułożyć należy 8 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół złożyłyby imię słynnego wodza, a końcowe, w tymże kierunku czytane, nazwę miejscowości, gdzie poniósł porażkę.

Znaczenie wyrazów: 1) Dopływ Bugu. 2) Nazwa rośliny kwitnącej. 3) Bożek słowiański. 4) Miasteczko w gub. Lubelskiej. 5) Przyrząd do podważania ciężarów. 6) Imię męskie. 7) Jezioro w Ameryce. 8) Miasto nad Notecią.

ZAGADKA REBUSOWA.

uł. Aes dla czytelników i czytelniczek.

W spółgłosce *wspak* zwierzę siedzi;
Kto chce zgadnąć, niech się biedzi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.**Łamigłówki tarczowej:**

1) Kares. 2) Kikoł. 3) Kutno. 4) Klwów. 5) Kobza. 6) Kojec. 7) Kudak. 8) Kicki.

Końcowe litery tych wyrazów składają nazwisko: Słowacki.

Szarady: Fa — jer — werk.

Odpowiedzi Redakcyi.

Zosi Benedyckiej. Wskazówki do wyrobu sztucznych kwiatów znaleźć można w drugim tomie dzieła p. t. „*Ręko-dzielnik amator*” wydawnictwo R. Kreczmera, kosztuje 2 rb, nabyć można w księgarni K. Idzikowskiego w Warszawie ulica Nowy Świat Nr. 21. Również o wyrobie kwiatów sztucznych ze skóry, wosku, stearyny lub parafiny, jedwabiu, atlasu, wełny, papieru i tym podobnych materiałów dosyć obszernie poucza szereg artykułów p. t. „*Kwiaciarstwo*”, zamieszczonych w październikowych zeszytach z roku bież. lwowskiego tygodnika „*Przemysłowiec*”. Pojedynczy numer kosztuje 20 kop. Przedstawicielstwo tego tygodnika na Królestwo posiada warszawska księgarnia E. Wendego i Spółki na Krakowskim Przedmieściu Nr. 9, dokąd należy zwrócić się z zamówieniem.

Niezbędne przyrządy do wyrobu kwiatów z różnych materii wykonywa na zamówienie skład broni Kuczwańskiego w Warszawie ul. Trębacka Nr. 7.

W razie zebrania jeszcze nowych informacyi nie omieszkaamy zawiadomić o tem.

Odpowiedzi działu zadanowego.

Przepióreczce z P. Na ten sam temat jak twój arytmogryf wielokrotnie już drukowaliśmy łamigłówki różne. Zwracamy przy sposobności uwagę, że w arytmogryfach dla starszych czytelników naszych nie tylko początkowe ale i końcowe litery wyrazów winny składać jakieś nazwy lub imiona, nadesłanego więc arytmogryfu drukować nie będziemy. Za dwie marki na wpisy dla uczniów dziękujemy.

Dudkowi z Wysocic. Jeszcze nie ogłosiliśmy konkursu na pomysłowość, a tyś już przysłał szereg zadań rozmaitego rodzaju; szkoda, że są rysowane ołówkiem i przytem dosyć słabo, wskutek czego z żadnego skorzystac nie będziemy mogli.

Trafne rozwiązania zadań z ostatnich numerów nadesłali: Kazio Ładowski, Czytelniczka z nad Lipianki, Janinka Lewańska, Meteor ognisty, Goździk i Stefcio Jagmiński.

Dla panienek.



Wzór na robótkę „point-lace”.

Wzór ten trzeba przekalkować na papier, naszyć na nim odpowiednie tasieczki i łączyć je pajęczkami z nici.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 15 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Historia o rycerzu Percevalu (ryc.) — Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąpczyńskiego. — Przeprawa oddziału sanitarnego przez rzekę Tajycę (ryc.) — Puszcza Niepołomska, przez A. L. S. (z ryc.) — Na łasce oceanu (dokończenie). — Ze świata. — Żarciki. — Łamigłówki i rozwiązania. — Odpowiedzi redakcyi. —

Dodatek: Mały fotograf, wiersz Adama Lacha (z ryc.) — Dary, przełożenia z angielskiego M. G. — Bajeczka matusi przez Radę. Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Historia o rycerzu Percevalu i smutnej księżniczce Sygunie.

WICIO FOTOGRAFEM.

Tydzień temu, Wacio z mamą
Był u fotografii —
I dziś twierdzi, że tak samo
Podobiznę czego zechce
Wykonać potrafi.

Cóż trudnego! — z aparatem
Przed widzom się stanie,
Spojrzy, prztyknie — i już na tem
Ukończone w parę sekund
Fotografowanie.

A do czynu przejść od słowa
To już sprawa drobna,
Zwłaszcza kiedy czyjaś głowa
Tak jak Wacia w moc pomysłów
Zawsze jest zasobna.

Wziął parasol, laski taty,
Związał końce sznurkiem
I zrobił bez czasu straty,
Trójnog, który wnet ustawił
Przed swym pieskiem Burkiem.

Burek patrzy, co to będzie
I ciekawie zerka,
Wicio przeszukawszy wszędzie,
W kącie znalazł: pudełko, piórnik,
Kawałek lusterka.

Od cygar pudełko duże
Kładzie na trójnogu
Dnem na dół, wierzchem ku górze,
A w pudełko — piórnik stary
I lusterko w rogu.

Tylko ten aparat Wicia
Jakoś dziwnie działa,
Bo rzecz trudna do ukrycia,
Że po zdjęciu jak i przed tem
Kartka zawsze — biała...

Adam Lach.



Serwetką wreszcie przysłania
Całe urządzenie,
Gotów do zdjęć wykonania,
Które robi, jak powiada,
W jedno oka mgnienie.

DARZY.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Było to naprawdę okropne! Niewinny człowiek oskarżony o kradzież przez to głupie życzenie Kizi. I pomyśleć, że wyznanie prawdy byłoby bezpożyte-

czne. Wszyscy pragnęli wyznać prawdę, ale gdy pomyśleli o kłatkach w zakładzie obłąkanych i o towarzyszach warjatakach, zabrakło im odwagi.

— Czy tu można nająć jaki powóz? — zapytała rozgorączkowana matka. — Cokolwiekbądź, czemby można pojechać? Muszę jechać zaraz do Rochesteru i zawiadomić policję...

Wszystkie dzieci szlochały.

— Jest na folwarku wózek... ale — o! nie jedź

mamusi! nie jedź! złota! jedyna! zaczekaj, aż ojczek przyjedzie!

Matka nie zwracała uwagi na prośby. Kiedy raz co postanowiła, szła prosto do celu nie zważając na przeszkody, Antea była do niej podobna w tym względzie.

— Słuchaj Cyrylu, powiedziała matka, przypinając kapelusz długimi szpilkami o srebrnych główkach. — Ciebie zostawiam na straży. Nie wychodź z garderoby. Możesz udawać, że się bawisz puszczeniem łódek w wannie lub coś podobnego. Powiedz, że ci na to pozwoliłam. Ale nie wychodź z pokoju, tylko zostaw drzwi wchodowe otwarte: drugie drzwi ja zamknęłam na klucz. I nie wpuszczaj nikogo do mego pokoju. Pamiętaj, że nikt nie wie o tem, że tam są kosztowności — nikt oprócz was i mnie — i niegodziwych złodziejów, którzy je tam schowali.. Ty Robertcie będziesz siedział w ogrodzie i czuwał nad oknami. Gdyby ktokolwiek próbował wejść, pobiegniesz do kuchni i zwołasz dwóch ludzi, których tu przyślę z folwarku. Powiem im, że w pobliżu kręcą się złoczyńcy — bo tak jest rzeczywiście. A teraz pamiętajcie, że na was polegam. Ale o ile mi się zdaje, złodzieje nie powrócą przed nocą, więc nie wam nie grozi. Bywajcie zdrowe, dzieci!

Zamknęła na klucz drzwi od sypialnego pokoju i wyszła, włożywszy klucz do kieszeni.

Dzieci nie mogły się powstrzymać od podziwu na widok bystrości i stanowczości matki. Pomyślały, jaką pomocą byłaby im matka przy ratowaniu się z kłopotów, w które wpadały skutkiem swoich niefortunnych życzeń..

— Mama byłaby doskonałym wodzem — powiedział Cyryl — ale nie wiem, co się dalej z nami stanie? Choćby nawet dziewczęta wyprawiły się na szukanie tego szatańskiego *samjadu* i choćby go znalazły i nakłoniły, żeby sobie zabrał napowrót swoje brylanty, mama będzie posądzała, żeśmy nie pilnowali dobrze, i że pozwoliliśmy złodziejom wślizgnąć się i zwędzić wszystko, albo też policya pomyśli, że schowaliśmy, albo że mama wystrychnęła ich na dudków... O! co za bigos się z tego zrobił! jakiegośmy piwa nawarzyli!

Zrobił ze złością papierową łódkę i puścił ją do wanny, jak mu mama mówiła, ale nie bawiło go to wcale w tej chwili.

Robert poszedł do ogrodu i usiadł na żółtkłej, nędznej trawie, podparłszy stroskaną głową bezradnie rękoma.

Antea z Kizią szeptały w korytarzu na dole, w tem miejscu, gdzie dziura w kokosowym chodniku chwytala zawsze nogi nieostrożnych przechodniów. Słychać było głos Marty, lamentującej rozgłośnie i przeciągle.

— To jest coś okropnie strasznego — mówiła Antea. — A czy my możemy wiedzieć, że wszystkie brylanty są tutaj? Jeżeli nie wszystkie, to policya będzie podejrzynała, że ojczyk i mama schowali część, a resztę tylko oddali dla niepoznaki. I może ich wezmą do więzienia, a my zostaniemy sami! A oj-

czykowi i mamusi także będzie źle — dodała po chwili namysłu.

— Ale co my na to możemy poradzić? — pytała Kizia.

— Nic: możemy tylko iść poszukać jeszcze raz samjada. Dziś tak gorąco, tak gorąco! Może wyszedł z piasku wygrzewać na słońcu chore wąsiki..

— Nie zechce spełnić drugiego życzenia w tym samym dniu — dowodziła zgnębiona Kizia. Za każdym razem co go widzimy, jest w coraz gorszym humorze. Zdaje mi się, że on nie lubi spełniać życzeń.

Antea z posępną miną potrząsała główką: nagle wyprostowała się, jakby czegoś nadsluchując.

— Co takiego? — zapytała Kizia. — O czem myślisz?

— Jedyne ratunek — zawołała tragicznym tonem Antea. — Ostatni, jedyny ratunek! Chodź prędko!

Pobiegła szybkim krokiem do kopalni piasku. O radości! siedział tam samjad w jamie wygrzanej w żółtym piasku i przeczesywał z zadowoleniem swoje wąsiki, grzejąc się w jaskrawem, popołudniowem słońcu. Ujrawszy dziewczynki, zwinął się w kłębek i zaczął spieszenie wkopywać się w piasek, — przekładając widocznie samotność nad ich towarzystwo. Ale Antea ubiegła go. Schwyciła za kosmate ramiona łagodnie lecz silnie i przytrzymała.

— Co to znaczy? — zapytał piaskoludek. — Puść mnie zaraz! Czy słyszysz?

Ale Antea trzymała go mocno.

— Drogi, dobry, kochany samjadku — wołała bez tehu.

— O! o! wszystko to dobre — odpowiedział piaskoludek. — Macie pewnie jakieś nowe życzenie, jak się domyślam, ale nie mogę pracować od rana do nocy poto, żeby spełniać ludzkie, niedorzeczne życzenia! Muszę też mieć trochę czasu i dla siebie na odpoczynek..

— Czy tak nie lubisz spełniać ludzkich życzeń? — zapytała Antea łagodnie, a głos jej drżał ze wzruszenia.

— Naturalnie, że nie lubię — odrzekł psammed. Odejdź, albo cię ugryzę! Naprawdę ugryzę — nie darmo ostrzegam! Bo! jeżeli chcesz koniecznie..

Antea widocznie chciała być ugryzioną, bo nie myślała go puścić.

— Zaczekaj chwilę! — zawołała. — Nie gryź! Posłuchaj, co ci mam powiedzieć. Jeżeli zrobisz to, czego nam dziś potrzeba, nie będziemy cię już nigdy przez całe życie o nic prosili!

Piaskoludek bardzo się rozczulił.

— Zrobię, co tylko zechcecie — odpowiedział płaczącym głosem. — Zrobię, narażając się na peknienie, byle spełnić wasze życzenia, jedno za drugim, zrobię — dopóki mi sił starczy, jeżeli tylko nigdy — nigdy więcej nie będziecie nic ode mnie żądali! Gdybyście wiedzieli, jak ja nienawidzę nadymać się na czyjeś żądanie — jak się obawiam uszkodzić sobie jaki muskuł lub coś podobnego! I budzę się co rano z tą myślą, że czegoś żądać będziecie.

Wy nie wiecie, co to jest — nie wiecie, co to jest, nie wiecie wcale!...

Głosu mu zabrakło ze wzruszenia, a ostatnie „nie wiecie” było już tylko żalosnem skrzeczeniem.

Antea usiadła na piasku.

— Wszystko to już się skończyło — powiedziała łagodnie. — Przrzekamy ci uroczyscie, że po upływie dzisiejszego dnia, nie będziemy cię już o nic prosili...

— Więc mów czego chcesz — jęknął piaskoludek. — Niech się to już raz skończy...

— Ile życzeń możesz nam spełnić?

— Nie wiem... Dopóki zdołam wytrzymać nadymanie...

— Więc naprzód proszę o to, żeby lady Chittenden przekonała się, że jej kosztowności nie zostały wcale skradzione...

Piaskoludek nadął się straszliwie, odetchnął głęboko i powiedział:

— Już!

— Proszę — mówiła Antea z wolna — żeby matusia wcale nie zawiadomiła policyi.

— Już! — powtórzyło dziwadło po pewnej chwili.

— Proszę — przemówiła niespodziewanie Kizia — żeby matusia zapomniała o tych brylantach.

— Już! — powiedział Psamead po dłuższej przerwie, ale głos jego był słabszy.

— Możebyś chciał trochę odpocząć? — zapytała troskliwie Antea.

(d. n.)

Bajeczka matusi.

„Albośwa to jacy tacy, jacy tacy chłopcy krawkowiacy,” śpiewał Wacio, przebierając zgrabnie nóżkami i — cap, z główki Karolka kaszkiekik, który mu matusia z czerwonego papieru dla zabawki zrobiła.

— Papelus, ój, mój papelus — zawołało rozpaczliwie trzyletnie maństwo, wyciągając rączyny w kierunku swojej zagrabionej własności, ale Wacio podparł się tylko pod boki z wielką fantazją i zaśpiewał wesoło: „Czerwona czapeczka, czerwona czapeczka”

— Waciu, dlaczego tak krzywdzisz braciszka — ujęła się mama — nie żal ci, że dziecko płacze przez ciebie?

— Czy nie słyszy matusia, że śpiewam: „Czerwona czapeczka”, jakiby to był sens śpiewać tak z gołą główką — odpowiedział Wacio; widząc jednak, że Karolek zanosi się od płaczu, przerwał zabawkę, a przykleknąwszy przed dzieckiem, uspakajał i tulił braciszka, którego przecież kochał serdecznie.

— No, nie płacz już Karolku, masz twój kapelusik, popatrz tylko na Wacia, niedobry Wacio, nie, krzywdzi braciszka, no, daj rączkę, Wacio przeprosi.

Karolek popłakał jeszcze chwilę, ale pieszczoty i skrucha starszego brata prędko uspokoiły małe-

stwo, bo czując czapeczkę, którą mu Wacio włożył na jasną główkę, uciszył się zaraz i z wielką powagą podał rączkę do pocałowania na znak zgody i przebaczenia.

— Co też to jest, matusiu — spytał Wacio — że ja nie mogę znieść czyjegós smutku — chciałem kapelusika i ucieszyłem się zabrawszy go, a jednak jestem pewny, że nie mógłbym się spokojnie bawić, gdybym wiedział, że Karolek płacze przeze mnie.

Matusia przytuliła chłopczyka i, zamiast odpowiedzi, opowiedziała bajeczkę...

Dawno, bardzo dawno już temu okropnie źle było ludziom na świecie; każdy myślał tylko, żeby jemu samemu, było jaknajlepiej, nikt nie zakłopotał się o bliźniego swego, a słaby, czy niedość ostrożny często bywał narażany na krzywdę i śmierć nawet.

Zdarzało się wtedy, że jakiś troskliwy ojciec wieczorem jeszcze pieścił swoje dzieci i pokazywał z radością, co zebrał dla nich — obfite ziarno zboża, całe stado bydła, którego wyhodowanie niemało wymagało starań i cieszył się biedny całym sercem, że zabezpieczył swoich najdroższych przed głodem i nędzą, aż tu w nocy znajomy jego, dowiedziawszy się o skarbach tego dobrego ojca, napadł na niego niespodzianie i porwał bez litości to, co sobie tamten zdobył w pocie czoła. I całe dnie rozlegał się gorzki płacz i westchnienia.

Plakał pokrzywdzony, ale wdychał także i krzywdzący, bo zawsze był niespokojny, czy nie znajdzie się ktoś silniejszy znów od niego i nie wydrze mu tego, co sam niedawno zagrabił, a czasem nawet zdarzało się, że pokrzywdzeni jęczeli z głodu, a jemu gorzkniał nagle posiłek, zdobyty krzywdą bliźniego i czuł, że mu żal bardzo tamtych zgłodniałych. Aż wreszcie poznali ludzie, że tak być nie powinno i zebrawszy się razem uradzili, iż muszą znaleźć coś, co ulży ich ciężkiej niedoli.

Żył wtedy siwowłosy staruszek o miłych, łagodnych oczach, bardzo mądry i bardzo dobry, żył sobie spokojnie i cicho i zawsze uspakajał pokrzywdzonych i nieszczęśliwych, że to wszystko się zmieni, że będzie i nad najslabszym jakaś opieka, że jest coś, co i robaczkowi marnie zginąć nie da.

I jak zawsze w tej złej chwili, zwrócili się i teraz wszyscy ku niemu: — Tyś mądry — wołali — tyś dobry, radź nam, radź!

A starzec rozpromienił się cały, czując, że nadeszła wreszcie piękna chwila, kiedy każdemu z nich daje się uczuć tęsknota za dobrem, chwila, którą przeczuwał już dawno i pragnął całym swoim poczciwym, szlachetnym sercem i przemówił do nich poważnie:

— Skończy się wasza niedola, skończą się te gorzkie łzy i te jęki, ale niech każdy z was myśli nietylko o sobie, ale i o bliźnim swoim, zachowując przykazanie Boże, aby każdy kochał sąsiada swego tak, jak kocha samego siebie. A dlatego, żeby spokój i sprawiedliwość zapanowały na świecie, niechaj każdy korzysta tylko z tego, co sam własnym tru-

dem zdobędzie, a nie zabiera tego, co inny zdobył uczciwie. Gdyby ktośkolwiek śmiało postępować inaczej, to ja wskażę, jak ukarać winnego dla przykładu i osądzę go surowo.

Rozeszli się wszyscy, przejęci radością, czując w sercach nieznane dotąd uczucia słodyczy i miłości, a słabi z całym zaufaniem garnęli się do silniejszego, bo już nikt nie zabierał plonów cudzej pracy, t. j. cudzej własności.

Skończywszy bajeczkę, podała matusia Waciowi czerwony, papierowy kaszkiecik, który podczas opowiadania zrobiła dla niego, a Wacio, ucałowawszy ręce matki, włożył go na swoje ciemne kędziory i, stanąwszy naprzeciwko Karolka zaśpiewał ochoczo: „Albośwa to jacy tacy, jacy tacy chłopcy krakowiacy”; Karolek podparł się w boki i wtórował ukochanemu bratu, jak umiał.

— Czerwona czapeczka — śpiewał Wacio.

— Ewona pacieta — starał się naśladować Karolek, a tupali i śmiali się obydwaj, że aż się rozlegało w jasnym, wesołym dzieciennym pokoiku.

Rada.

METAGRAM.

ul. Krakowiak.

Przez *g* wstręt w patrzącym budzi,
Przez *j* truje wszystkich ludzi,
Przez *ł* oznacza porządek,
Przez *s* wiele miewa grządek.

ŻARTOBLIWE ZAPYTANIE.

podał Janek Rz.

Które miasto ma najwięcej raków?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Przeplatanki literowej:

Zuch do kluch,
A od kaszy
Nikt go nie odstraszy.

Szarady: Ka — pi — tan.

ŻARCIKI.

Pragnienie Frania.

— Czembyś ty chciał być? — zapytuje Frania ciocia.
— Ja chcę być maszynistą na kolei.
— Maszynistą, a to dla czego?
— A bo mógłbym sobie gwizdać, kiedy chcę i niktby mi nie mówił, że to nieprzyzwoicie.



Więc to na taką dużą panienkę wyrosła już **Muszka z nad Rosi**, że staje się pomocą i wyręczycielką mamusi? Niech ci, dziewczeczko droga, Bóg dopomaga w spełnianiu tych pierwszych drobnych obowiązków życia, a pamiętaj, że najpierwszą i najważniejszą jest rzeczą, żeby je wszystkie choćby najdrobniejsze jaknajsumienniej spełniać. **Piwonijka** przyznaje się do lenistwa w pisaniu, namów ją, niech tę brzydką wadę pokona i obszerniejszy list Jaskółce przyśle.

Ileż to, ile ta **Serdeczna ptaszyna** cielewyczych rzeczy na wsi widziała! I wilgę i kowalika i — jak się wróble w piasku kąpały i jak ludzie zboże i siano grabili. A słyszałaś, z jaką pieśnią wieczorem po całym dniu pracy do domu wracali? Umiałaś patrzeć i wdzięcznie opisać swoje wrażenia. Widziałaś tam pewnie i jaskółkę, która nieraz nad główką twoją krążyła, więc i pomyślałaś o tej z „Wieczorów”, która myślała i sercem również krąży nad wami.

Sarenko Modrooka, dlaczego masz się już rozstać z nami? Czy za dorosłą uważasz siebie pannę? Przecież wiesz, ile „staruszek” koresponduje z Jaskółką i czyta „Wieczory”. Mam nadzieję, że nie stracę cię jeszcze. Sierotki proszą bardzo i o używane rzeczy, byle je jeszcze nosić można było. Im się wszystko przyda, czy stare czy nowe, bo bieda bardzo dużo.

Myślałam, że **Gospośnia** zupełnie zapomniała już o mnie, bo tak dawno żadnego od niej listu nie było. Skarżysz się na zimno i deszcz, trwające przez całe lato, a w Warszawie i na lewym brzegu Wisły wyglądaliśmy z upragnieniem choć trochę wilgoci. Susza była w tych stronach tak długa, że ucierpiał przez nią bardzo zboża a kartofle chybiły zupełnie. A brak kartofli to wielka klęska dla naszego ludu, więc smutno zapowiada się zima. Pewno bardzo lubisz te lektury literatury, o których piszesz. A czy masz książki potrzebne i czy dużo czytujesz? Chciałabym bardzo, żebyś częściej pisywała do Jaskółki i donosiła jaknajwięcej o swej nauce i życiu.

Jakaż tam nowa dobra myśl powstała w główce **Szarotki z Tatr**, jeśli do jej spełnienia chce wiedzieć od jakiego wieku przyjmują dzieci do zakładu Św. Zofii. O ile ja wiem -- to od lat siedmiu. Jeżeli ci to nie wystarczy, napisz wyraźniej, o co ci chodzi, a Jaskółka zbierze dokładniejsze wiadomości i pośle ci je prędko. Piszesz, że chciałabyś mieć dużo pieniędzy, żeby módz robić dużo dobrego i że dziś w ogóle ludzie bogaci mało czynią dla społeczeństwa, a biedni nie mają środków do wykonania swych szlachetnych zamiarów. Ta uwaga, Szarotko, tylko w części, słuszna, bo przedewszystkiem wielu jest ludzi bogatych, którzy dużo dają, ale my o tem nie wszyscy wiemy, a powtóre nie wiemy także, czy ci ludzie, którzy dziś mówią: „co ja bym zrobił, gdybym miał pieniądze”, robiliby wiele dobrego, mając je rzeczywiście. To też powinniśmy, nie oglądając się na innych, w myśl słów poety:

„Czyńmy wszyscy, co każe Duch Boży,
A całość sama się złoży”...

spełniać sumiennie to, co w naszej jest możności.
Roboty twojej nie widziałam jeszcze, bo oglądać je będą dopiero wszystkie razem przy sądzeniu robót konkursowych.
Jaskółka.